

Małgorzata Felicka: Komentarz do Wykładu prof. Chantal Delsol „Koniec chrześcijańskiego świata”

Godzę się na to, że w chrześcijaństwo wpisane jest dążenie do prawdy. Jeśli, jak twierdzi Chantal Delsol, nowoczesność ową zasadę narusza, to chwala chrześcijaństwu, że odrzuca nowoczesność. Co do dalszych wymienionych zasad odrzucanych przez nowoczesność: hierarchii, autorytetu i przymusu, wydaje się, że nie są to zasady chrześcijaństwa, tylko zasady każdego zorganizowanego społeczeństwa – pisze Małgorzata Felicka, odnosząc się do wykładu francuskiej intelektualistki wygłoszonego w ramach cyklu „Wykładów Janopawłowych”, organizowanych przez Instytut Kultury św. Jana Pawła II na rzymskim Angelicum.

Błyskotliwy wykład prof. Delsol stanowi polemikę z poglądem, iż po upadku chrześcijaństwa świat zapadnie się w nicość. Zastanawiające jednak, kto głosi taki pogląd. Nie mogą być to chrześcijanie, bo chrześcijańska wiara nie dopuszcza możliwości zniknięcia chrześcijaństwa. Nie mogą to być przeciwnicy chrześcijaństwa, gdyż nie głosiliby przecież, że swe własne istnienie zawdzięczają istnieniu chrześcijaństwa, bez którego zapadliby się w nicość.

Zakładam, że Autorce znane jest pochodzenie poglądów, z którymi polemizuje, a nieznanomość istnienia i powszechności takiego poglądu jest skutkiem mojej ignorancji. Co więcej, jest on na tyle ważny, że prof.

Delsol uważa, że warto wytoczyć przeciw niemu argumenty, aby go obalić. Spróbujmy zatem owe argumenty nieco bardziej uporządkować, aby stały się bardziej czytelne. Przede wszystkim należałoby oddzielić obserwacje od spekulacji, ponieważ, o ile obserwacje prof. Delsol są najczęściej trafne, a czasem odkrywcze, to jej spekulacje z pewnością u niejednego czytelnika rodzą potrzebę polemiki, ponieważ nie są dość solidnie uzasadnione. Zatem przyjrzyjmy się treści wykładu, i spróbujmy dokonać – w miarę możliwości – jak najbardziej skrupulatnego podziału na dwie wymienione grupy: obserwacji i spekulacji. Z tym zastrzeżeniem, że od początku napotkamy na pewną nieusuwalną trudność: otóż dwa najczęściej używane w tym wykładzie, kluczowe terminy, są nie dość precyzyjnie określone. Są to: „świat chrześcijański” oraz „nowoczesność”.

Znaczenie terminu „świat chrześcijański” oscyluje między kulturą chrześcijańską, świecką władzą Kościoła, zasadami etyki chrześcijańskiej, a wiarą chrześcijańską. Natomiast „nowoczesność” jest właściwie określona jedynie jako zanegowanie chrześcijaństwa w jednym, albo w kilku na raz z powyższych znaczeń. Jeśli tak określa się nowoczesność, to z tej definicji wprost wynika, że chrześcijaństwo jest wrogiem nowoczesności. Posłuchajmy: *chrześcijaństwo od zarania do całkiem niedawna – nazbyt często – było głównym wrogiem nowoczesności*. Narzuca się w związku z tym pytanie, o jaką nowoczesność chodzi? Bez uściślenia trudno polemizować z tym sądem. To nie koniec zarzutów, w dalszym ciągu wykładu napotykamy na takie stwierdzenie: *losem chrześcijaństwa jest niezmienna skłonność do odrzucania nowoczesności, która narusza jego podstawowe zasady: prawdę, hierarchię, autorytet i przymus*. Chętnie godzę się na to, że w chrześcijaństwo wpisane jest dążenie do prawdy. Jeśli, jak twierdzi Autorka, nowoczesność ową zasadę narusza, to chwala chrześcijaństwu, że odrzuca nowoczesność. Co do dalszych

wymienionych zasad odrzucanych przez nowoczesność: hierarchii, autorytetu i przymusu, wydaje się, że nie są to zasady chrześcijaństwa, tylko zasady każdego zorganizowanego społeczeństwa, które broni się w ten sposób przed chaosem anarchii.

Godzę się na to, że w chrześcijaństwo wpisane jest dążenie do prawdy. Jeśli, jak twierdzi Autorka, nowoczesność ową zasadę narusza, to chwala chrześcijaństwu, że odrzuca nowoczesność

Oprócz odrzucania nowoczesności, chrześcijaństwo według Autorki odrzuca jeszcze coś: *rewolucja francuska opierała się na nicości, ponieważ panująca religia katolicka odrzucała wszystkie jej założenia, począwszy*

od wolności i równości. Oponuję: religia chrześcijańska, a więc i katolicyzm twierdzi, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Zatem, w tym najgłębszym możliwym sensie według doktryny chrześcijańskiej ludzie są sobie równi jako dzieci Boże. Co więcej, Bóg dał człowiekowi wolność, nie narzuca mu się, czeka, aż człowiek pozwoli mu do siebie przyjść. Nie może więc być religia chrześcijańska przeciwna woli i równości. Równości w człowieczeństwie i właściwej mu godności, chociaż ze świadomością, że ludzie są różni. Nie jednakowo obdarowani. Autorka mówi dalej: *chrześcijaństwo jako cywilizacja stanowi owoc katolicyzmu – holistycznej religii, broniącej organicznego społeczeństwa, a sprzeciwiającej się indywidualizmowi i wolności jednostki.* To także, w moim odczuciu, niejasne stwierdzenia. Chrześcijaństwo oczekuje i wymaga jednostkowej odpowiedzialności za własne postępowanie, za

wybory życiowe, jednostkowej, osobistej relacji z Bogiem. Od chrześcijanina oczekuje się osobistego reagowania na krzywdę, zainteresowania innym człowiekiem, niesienia pomocy, solidarności. Jest więc indywiduum obdarzonym wolnością wyboru. Chyba że indywidualizm, o którym tu mowa jest nie tyle odrębnością osoby, co egoistycznym stawianiem własnego interesu ponad wszystko, w tym ponad dobro wspólnoty. Jeśli tak, to zgadza się, chrześcijaństwo odrzuca tak rozumiany indywidualizm.

Odnosi się nieodparte wrażenie, że Autorka zdesakralizowała chrześcijaństwo, odarła je z Tajemnicy, pozbawiła transcendentnego wymiaru, a zostawiła jego aspekt społeczny i etyczny i nad takim kadłubkiem pochylała się z nikłą sympatią, wytykając mu wszelkie wady i zrównując z innymi prądami polityczno-obyczajowymi, które znamy z przeszłości. To tak, jakby o bryle mówić na podstawie rzutu na kartkę i narzekać, że jest płaska, albo włożyć kwiat do za ciasnej buteleczki, zakręcić i narzekać, że nie pachnie. Tyle jeśli chodzi o obserwacje Autorki.

W dalszym ciągu wykładu prof. Delsol przechodzi do dowodzenia, że chrześcijaństwo umiera. Zobaczmy, jakie widzi świadczące o tym symptomy. *Chrześcijanie usiłują bronić tradycyjnej moralności, używając niechrześcijańskiej argumentacji: są w pełni świadomi, że ich dogmatów nikt już nie wysłucha. Argumentują z natury, prawa naturalnego lub przyczyn zewnętrznych, niekoniecznie mniej istotnych.* Myślę, że z tego faktu należy wyciągnąć inny wniosek: mianowicie to, że w argumentacji stosowanej przez chrześcijan wobec niewierzących nie występują argumenty zaczerpnięte z Ewangelii świadczy o inteligencji chrześcijan. Do ślepego nie ma sensu mówić o kolorach.

Następnie prof. Delsol w dalszym ciągu w czarnych barwach opisuje sytuację współczesnych chrześcijan: *bez względu na kolejne wydarzenia, stare reguły krok po kroku ustępują, czasem szybko, kiedy indziej powoli, ale systematycznie i niechybnie. Ich chrześcijańscy stronnicy walczą jedynie w obronie etyki przekonań lub dla podtrzymania ducha. Od początku przekonani, że nie zwyciężą w danej batalii, że nie uzyskają najmniejszego ustępstwa, przyjmują stanowisko swoistego duchowego oporu ad majorem dei gloriam.* Taki opis wydaje się z gruntu błędny. Trudno wyobrazić sobie, żeby chrześcijanie nie wierzyli w zwycięstwo Chrystusa i Jego nauczania, ponieważ na tym polega bycie chrześcijaninem, że wierzy się w takie zwycięstwo.

Trudno wyobrazić sobie, żeby chrześcijanie nie wierzyli w zwycięstwo Chrystusa i Jego nauczania

Wątpliwości budzą również rozważania o charakterze historyczno-porównawczym. Delsol wypowiada tezę o lustrzanym

odbiciu zjawisk. Mianowicie te, które doprowadziły do przyjęcia chrześcijaństwa przez starożytny Rzym, miałyby być podobne do tego, co obserwujemy dzisiaj. Zwraca przy tym uwagę, iż w obu przypadkach następuje okres zaprzeczania starym normom, normatywna inwersja. Uważa, że nastąpił powrót do punktu wyjścia, że historia zatoczyła koło, bo odrzucony przez Rzym bóg, Priap, był bogiem seksu i przemocy, do którego obecnie, po odrzuceniu chrześcijańskiego Boga, nowoczesność wraca. Autorka twierdzi dalej, że obserwujemy obecnie ruch w dokładnie przeciwnym kierunku do tego, który miał miejsce w IV wieku - powrót do pogaństwa. W moim odczuciu to rozumowanie ma lukę, gdyż przejście od kultury starożytnego Rzymu do chrześcijaństwa

było przyjęciem czegoś nowego. Tym, co nowe, było wówczas chrześcijaństwo. Obecnie zaś, zdaniem Delsol, powracamy do starego. Nie ma powodu, żeby mówić o zataczaniu jakiegoś koła. Można by o tym mówić, gdyby taki cykl powtarzał się, ale ponieważ mamy tylko jeden przykład, słuszniej jest mówić o cofnięciu się. Delsol pisze dalej, że to, co obserwujemy „jest to po prostu wynik radykalnej przemiany przekonań”. Zastanawiające, jakie są przyczyny wskazanej tu radykalnej zmiany przekonań. Jest to pytanie, które nie pojawia się w wykładzie prof. Delsol, a szkoda, bo jeśli opisywana zmiana prowadzi do cofania się, to dobrze byłoby odkryć jej przyczynę, aby móc owo cofanie zatrzymać. Wydaje się, że nie można spokojnie przyglądać się temu co się dzieje, jeśli uświadomimy sobie, że mamy do czynienia z czymś, co nie jest to po prostu zwykłym biegiem dziejów, który można było wielokrotnie przedtem obserwować, ale że jesteśmy świadkami postępującego upadku, mamy do czynienia ze staczaniem się.

Autorka mówi dalej, że *przychodzi dzień, kiedy wiara w pierwsze zasady się załamuje. Jeśli chodzi o nas, żyjemy obecnie w przełomowym momencie, kiedy pierwotne wybory ontologiczne – określające znaczenie i miejsce człowieka we wszechświecie, naturę świata czy bogów – zostają obalone*. Nawet, jeśli – jak twierdzi Autorka – to już nastąpiło, a nie dopiero odbywa się na naszych oczach, to rodzi się pytanie, czym owe wybory zostają zastąpione. Na razie możemy jeszcze tego nie widzieć, ale trudno przypuszczać, żeby nastąpił prosty powrót do tego, co już raz zostało odrzucone. Takie powroty, o których pisze Autorka, wydają się mało prawdopodobne. Ponieważ Autorka nie ma żadnych dowodów na słusność swoich przewidywań, to równie uprawnione wydaje się rzutowanie w przyszłość odmiennych poglądów. Na przykład twierdzenie, że bardziej prawdopodobne niż śmierć chrześcijaństwa jest ewoluowanie przekonań w kierunku chrześcijaństwa bardziej zgodnego z Ewangelią. Takiego

chrześcijaństwa, które pozbędzie się nadmiernego balastu spraw doczesnych, które będzie dążyło do władzy jedynie po to, żeby traktować ją służebnie, które przejmie się myślą o jedności wszystkich ludzi, o powszechnym braterstwie, miłosierdziu i solidarności, które nie będzie obrażało się na wieść o nieodłącznym od natury ludzkiej grzechu pierworodnym i uwzględniało go i inne przyrodzone cechy natury ludzkiej w swoich oczekiwaniach, wymaganiach i aspiracjach. Innymi słowy, obecny czas kryzysu nie musi prowadzić do śmierci chrześcijaństwa, tylko do jego odrodzenia. Ponieważ zaś tymczasem jesteśmy świadkami powolnego, acz coraz szybszego staczania się, to tym, czego najbardziej potrzebujemy jest ukazanie, iż rzekomy postęp jest cofaniem się. Taki obraz mógłby spowodować otrzeźwienie, nawrócenie z powrotem na drogę wiodącą do przodu a nie wstecz. Ponoć Chińczycy mają powiedzenie, że kryzys to szansa. Co do tego, że jesteśmy świadkami kryzysu wszyscy zdają się być zgodni, lecz - aby wykorzystać go jako szansę - nie możemy akceptować cofania się jako jedynej wyłaniającej się możliwości.

Ponieważ jesteśmy świadkami powolnego, acz coraz szybszego staczania się, to tym, czego najbardziej potrzebujemy jest ukazanie, iż rzekomy postęp jest cofaniem się

Następny
podniesiony przez
Autorkę problem
brzmi kuriozalnie:
Co dzieje się, co
stanie się z
Kościołem
pozbawionym świata
chrześcijańskiego?
Przecież Kościół to

inne określenie dla świata chrześcijańskiego. A więc nie ma jednego bez drugiego. Chyba, że nie rozumiem użycia tych terminów. Dla mnie zarówno Kościół jak i świat chrześcijański to widoczny znak obecności

Chrystusa w naszym świecie. I nie jest prawdą, że *najczęstszą jednak, zwłaszcza wśród duchownych, jest postawa rezygnacji i wycofania. Podobnie jak nie jest też prawdą, że przywódcy Kościoła to dziś cisi i dyskretni apostołowie, tak dalecy od prozelitów, do których przyzwyczaiała nas tradycja. Nie ma już mowy o podboju, zastępuje go pokorne świadectwo, ku niemu kierujemy również tych, którzy skłonni byłiby do ewangelizowania w dawnym stylu, wchłoniętego przez propagandę uprawianą w złym stylu. Religii zakazano podboju, podobnie jak zakazano go państwowo. Prawdą jest natomiast, że dziś zmieniły się formy podboju, zarówno tego w wykonaniu państw jak i w sposobie ewangelizowania.*

Jakże ponuro, ale również na szczęście przesadnie i nieprawdziwie, brzmią następne stwierdzenia Delsol: *srowadzeni do statusu milczących świadków, dzisiejsi chrześcijanie skazani są na bycie żołnierzami w przegranej wojnie. Ich walki, szczególnie dotyczące kwestii społecznych – a te są najważniejsze, jako że dotyczą zasad i cnót – prowadzą donikąd, a przy tym nie mają szans, by przynieść owoce.* Podobnie jak poprzednio, warto zwrócić uwagę, że tak może o chrześcijaninie mówić człowiek niewierzący, ale chrześcijanin o sobie tak nie powie, ponieważ istotą jego wiary jest wiara w zwycięstwo Chrystusa. Warto byłoby zastanowić się nad przytoczonymi w wykładzie słowami de Tocqueville'a: *mniej jako doktryna religijna, a raczej jako instytucja polityczna chrześcijaństwo stało się zarzewiem tej wściekłej nienawiści.* Być może nie miał racji, a przedmiotem nienawiści, o której wspomina jest właśnie niezachwiana wiara w zwycięstwo okazywana przez chrześcijan.

Na koniec pada naprawdę bulwersujące stwierdzenie: *to już nie świat chrześcijański zostawia nas – to my odchodzimy od niego. Dlaczego? Ponieważ zrezygnowaliśmy z rządów siły.*

Czyli, powtórzmy, mamy rozumieć, że odejście od chrześcijaństwa następuje dlatego, że chrześcijaństwo jest tożsame z siłą, inaczej mówiąc, z przemocą? A zatem kryje się tu sugestia, że po porzuceniu chrześcijaństwa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknie przemoc? Karkołomne rozumowanie. I następne pytanie, które Autorka stawia: *inaczej rzecz ujmując, czy naprawdę nie potrafimy wymyślić innego sposobu bycia niż hegemonia?* Czy to jest pytanie pod adresem chrześcijaństwa, czy pod adresem ludzi? Raptem chrześcijaństwo okazuje się odpowiedzialne za przywary natury ludzkiej.

Na koniec: *odrzućcie świat chrześcijański nie jest bolesną ofiarą.* A czym jest? Wyzwoleniem? Odrzućcie siły? To znaczy, że jak już zdobędziemy się na ten konieczny i właściwy gest, to nastąpi zwrot w prawidłowym kierunku i będziemy: słowami Saint-Exupéry'ego, „iść powolutku w kierunku studni”. Poetycko to brzmi, ale – konkretnie - co miałyby oznaczać?

Małgorzata Felicka

(Z podziękowaniem dla prof. Jacka Koronackiego za cenne uwagi do pierwotnej wersji tekstu)